WARSZAWA KRAKÓW LWÓW POZNAŃ

BLUSZCZ

№ 8. ROK WYDAWNICTWA LIII. Dnia 23 Lutego 1918 r.

PRENUMERATA W WARSZAWIE:
Miesięcznie: Mk 2.15, kwartalnie: Mk. 6.25, półrocznie: Mk. 12.50, rocznie: Mk. 25.

CENA OGŁOSZEŃ: za wiersz 1-o szpaltowy nonparelowy lub jego miejsce „za tekstem": Mk. 1.50; ogłoszenia zwycz. 65 f. „Nadesłane" Mk. 2.50, margines Mk. 18. Kolumna Mk. 360. Załączniki Mk. 40 za tysiąc.

CENA NUMERU POJEDYŃCZEGO . . . Fen. 65.

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE
POŚWIĘCONE SPRAWOM KOBIECYM
Pod redakcyą ZOFII SEIDLEROWEJ
Ekspedycya główna: Nowy-Świat 41.
Drobnych rękopisów nie zwraca się. — Tel. Red. 105-22. Tel. Adm. 220-86.

Prenumerata na prowincyi, w Austryi, Galicyi, w Rzeszy Niemieckiej i W. Ks. Poznańskiem:
Rocznie: Mk. 30, półrocznie: Mk. 15, kwartalnie Mk. 7.50.

W Lublinie „Bluszcz" w biurze dzienników „REKORD" — Kapucyńska 2.

W Krakowie u W-go D E. Friedleina—Rynek 17.

We Lwowie — w biurze dzienników W-go Henryka Buchsteba — ul. Karola Ludwika 21.

Z powodu opóźnienia przesyłki klisz z zagranicy nie możemy przy niniejszym numerze dołączyć dodatku z modami. Dołączymy go w numerze następnym.

ZAGROŻONE KRESY.

(W SPRAWIE CHEŁMSZCZYZNY I PODLASIA).

Purpurowe w obronnej walce szpony stalowe i dziób ostry, lecz i niezamąconą biel skrzydeł miałeś, ptaku królewski. Śnieżno-biały byłeś w potędze swego lotu. Dopiero później — w okresie bezprzykładnej martyryologii Twojej — stałeś się od krwi Twojej własnej czerwony, jak upiór. I padło wówczas — pono — proroctwo, że dopiero krwią wrogów Twoich zmyjesz niewinną krew własną, purpurowiącą Ci skrzydła.

Dokonałeś czynów heroicznych, niezapomnianych — obroniłeś Europę przed zalewem barbarzyństwa Wschodu. Stworzyłeś dzieło niebywałe w dziejach ludzkości: pokojową, kulturalną ekspansyę, 5-wiekowe pobratymstwo narodów, złączonych z Tobą wspólną, lecz Twoją własną nadewszystko ideą. W zaraniu, mgle i przedpołudniu dziejów wyciosałeś z chaosu Słowiańszczyzny, z mozaiki kulturalnych wpływów toporem Bolesławów i mieczem Jagiellonów własny gmach państwowy i własną narodową ideę, którą przeciwstawiłeś uporczywemu „drang nach Osten" germańskiego żywiołu i pochodowi na Zachód koczujących, niszczycielskich — jak szarańcza—plemion. Przyjąłeś na siebie i spełniłeś znaczną część Twego dziejowego posłannictwa. Twój wysłannik, pioner i chorąży, Maciej „Mazur" na Pomorzu, nad Odrą i nad Salą budował zagrody w tym samym czasie, co i Karol „Niemiec" *).

Ten-że wysłannik Twój i zwiastun kolonizuje „zagajnicę" płocką, z toporem w ręku i radłem pod pachą zagłębia się do ostępów puszczy ostrołęckiej, ciągnie żwawo do „zielonej" puszczy nowogrodzkiej na Litwie, jako łup wojenny, chociaż bez krwi przelewu bierze w swe posiadanie szerokie widnokręgi Podlasia, dociera aż do błot Polesia, idzie niepowstrzymany w swym pędzie na południe i na wschód — przynosząc wszędzie swą zadziwiającą prężność i moc kolonizacyjną, swój śpiew wesoły, energię niewysłowioną mięśni i ducha, odporność cudowną woli, wreszcie ideę polską, która „nie zna Wschodu ani Zachodu" — zaś — w razie potrzeby, ku obronie swego indywidualnego życia, lub mienia, lub zbiorowego:— wolności i prawa do życia, do pracy, do śpiewu, do radości gromady, wreszcie idei szerszej — posłannictwa Polski — rękawa na „inszy manier" zakasać potrafi i miecz groźny w krzepkie, zapamiętliwe dłonie ujmie. A wówczas — biada wrogom — — — — — — — — — — — —

Gdzie przeszły miecz lub socha polskiego chłopa, kędy w orężnych gonitwach i w łomocie walnych bitw zalśniły sławetne polskie proporce, gdzie tylko na czas jakiś zatrzymała się i nad obronnym, krwią zlanym szańcu pochyliła głowę idea polskiego posłannictwa — tam oznaczony został stan posiadania Polski, oparty nie o przemoc, lecz z dobrej woli uczyniony akces mieszkańców.

W szeroko zakreślonych ramach państwowości Polski w dobrowolnym sojuszu żyją, walczą wspólnie i wspólny dorobek iszczą wiele różnych narodów i plemion. Mamy tu Litwinów, Żmudzinów, Prusaków, Niemców, Białorusinów, Żydów, Łotyszów, Estów, Tatarów, Rusinów, Ormian — z których dwa tylko: Litwa i Ruś mogą wykazać się próbami tworzenia własnej państwowości. XIV i XV stulecia dokonywują zcałkowania trzech państwowo-twórczych tendencyi, z których polska przejawia ogromny rozmach i siłę asymilacyjną—litewska jest już znacznie słabsza—ruska natomiast bardzo nikła i poza Haliczem i próbą chełmską księcia Daniela w XIII stuleciu ujawnia się na przestrzeni ziem Rzeczypospolitej na Białej Rusi wspólnie z odważniejszemi, niewygasłemi aspiracyami książąt litewskich (Skirgiełło). Unia horodelska, przywileje królewskie z lat 1432 i 1447, wreszcie — unia lubelska 1569 r. jednoczą trzy narody, które „odtąd jedno wspólne ciało stanowić mają". Przyjęcie przez warstwy oświecone wszystkich ziem Rzeczypospo-

*) U Helcla.

litej kulturalnych wpływów polskich, oraz wspólność przeżyć historycznych zadecydują niebawem, że to „wspólne ciało“ i wspólny duch zamieszkiwać pocznie. Śmiało rzec można, że gdyby cała ludność Rzeczypospolitej powołana była do świadomej państwowotwórczej pracy i korzystania z dóbr kulturalnych, słowem, gdyby nie było krzywdy społecznej i przywilejów politycznych szlachty i duchowieństwa, a co za tem idzie odsunięcia od szerszej areny olbrzymiej większości narodów, zamieszkujących powyższe ziemie— pod działaniem dwuch wymienionych czynników proces spolszczenia zatoczyłby znacznie szersze kręgi i być może wytworzyłby jeden nierozerwalny blok trzechpierwiastkowego, mocnego granitu z całej ludności wielkiej historycznej Polski. Wielka, bolesna, wspólna wszystkim ludom Europy rana pańszczyzny zaważyła na budowie polskiego państwowego gmachu. Pozbawiła go szerokiej podstawy, harmonijnego stosunku materyałów budulcowych, mocy wewnętrznej, dała natomiast zarodki rysów i załomów, które okazały się śmiertelne.

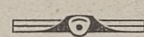
Zatargi wewnętrzne Polski rzadko kiedy miały, jako motor, lub punkt wyjścia wybiegające po za koncepcyę ideologiczną polską państwowe ambicye jej mieszkańców. Da się to odnieść zaledwo w pewnej mierze — do Litwinów. I tu jednak książętom litewskim chodziło raczej o samodzielność, o wpływy na Ruś, nie zaś o oderwanie się od Polski. Zatargi z Rusią tem mniej nosiły charakter zwalczania się przeciwstawnych ambicyi państwowotwórczych. Kozacy nie zwalczali króla i jego władzy, lecz szlachtę polską i ustawy sejmowe. Niemilknący tak długo gwar smutnej pamięci „wojen kozackich“ wywoływały: 1) (z winy Jezuitów i popów rosyjskich): fanatyzm religijny; 2) (z winy magnatów i szlachty): ucisk pańszczyźniany, cięższy, niż w rdzennej Polsce i 3) (z winy ówczesnego ustroju Polski): chaotyczność jej polityki wewnętrznej i zewnętrznej, co między wielu innemi rzeczami sprowadzało niemożność uregulowania liczebności kozackiego wojska. Ukraina nigdy nie zdradzała ani obudzonej świadomości narodowej, ani poważniejszych państwowotwórczych tendencyi. Opierała się zawsze o obcą państwowość, bądź (najdłużej) — polską, bądź rosyjską (Chmielnicki), bądź turecką (Doroszenko). Idei własnej państwowości nie zdradzała i obecnie, jeszcze w przeddzień podpisania brzeskiego traktatu, marząc zaledwie o autonomicznym lub federacyjnym stosunku do republiki ogólno-rosyjskiej. Dla tego to nie sądzimy byśmy mieli przesadzić, jeżeli powiemy, że dla ukraińskiego ludu państwowość ukraińska, jako wynik traktatu brzeskiego, była większą niespodzianką, niż w swoim czasie dla albańczyków niepodległa Albanja i że potrzebaby tu było seryi nowych faktów, by decyzyę brzeską uczynić decyzyą historyi.

Jeśli jednak Rzeczpospolitę szarpały waśnie polsko-litewskie i zwłaszcza polsko-ukraińskie, najmniejszy cień nie przesłonił zgodnego współżycia Podlasia i Chełmszczyzny z innemi ziemiami Polski.

Pierwsza z tych dzielnic — dawny kraj Jadźwingów, należący już w XV stuleciu częściowo do księstwa Trockiego, częściowo do Mazowsza gęsto był kolonizowany prężnym żywiołem mazurskim. Krocząc razem z Rzeczpospolitą drogą zwycięstw i sławy, przeżywa z nią razem i późniejsze, bolesne wydarzenia upadku, niewoli i krwawych walk o wolność. Tę jego niezaprzeczoną wspólność z Polską uszanuje traktat Wiedeński, pozostawiając go w granicach Królestwa Kongresowego; uszanuje aż do 1908 r. i Rosya, nie cofająca się przed żadnemi środkami dla dopięcia jednego z naczelnych celów swojej polityki wewnętrznej—rusyfikacyi kresów. Nieustanny proces w XIV i XV wieku kolonizacyi polskiej pustych lub słabo zaludnionych obszarów, zapewni Podlasiu przewagę bardziej rzutkiego i kulturalnego żywiołu polskiego nad ruskim i białoruskim, kolonizującym kraj od wschodu i od północy. Prócz kolonizacyi kmiecej znajdziemy tu liczne szlacheckie zaścianki. Poważny wpływ wywrze w tej warstwie i w innych wspólność przeżyć historycznych z Polską. Ta wspólność — świadomych przytem i dobrowolnie przyjętych wydarzeń rozciągnie się i na lud wiejski, któremu nie pozostanie obcą tragedya styczniowa, z jej epopeją podlaską:—długotrwałą, zaciętą walką księdza Brzózki i końcową tragedyą — śmiercią bohatera Podlasia w maju 1865 roku.

Bolesław Zahorski.

(D. n.).



Biblioteki dla dzieci i ich znaczenie wychowawcze.



Coraz silniej i słuszniej na naczelne miejsce w ideale wychowawczym przebija się myśl, że samokształcenie należy uczynić ośrodkiem pracy pedagogicznej, jeśli ona ma być rzeczywiście twórczą i dawać istotne wartości jednostce i społeczeństwu. Stary system uczenia ustępuje nowemu, którego hasłem jest *uczenie się samemu*, bez względu na jakim stopniu rozwoju stoi jednostka.

I powiedzenie takie nie jest bynajmniej paradoksalnem; natura stwarza warunki, które pozwalają organizmowi fizycznemu rozwijać się, dojrzewać, nabywać sprawności i mocy i taż sama natura rozwija ukryte a przecież tkwiące siły duchowego rozwoju człowieka. Wyzyskać te siły, wzmocnić je, jeśli są słabe, to są wymagania, jakie stawiać należy nauczycielowi, który powinien być przedewszystkiem fizjologiem i psychologiem, a potem socjologiem i filozofem. Oczywiście nie chodzi tu o stopnie i doktoraty, ale jedynie o ścisły i głęboki związek z twórczemi drogami najgenjalniejszej myśli ludzkiej, o obejmowanie szerokich horyzontów i wielkie poczucie odpowiedzialności przed przyszłością.

Szkoła przyszłości i pedagogja przyszłości muszą postawić sobie za cel odkrywanie i wydoskonalenie środków dla pracy samokształcenia. Tak zresztą jako ideał pojmowali zadania wychowawcze najgenjalniejsi przedstawiciele myśli pedagogicznej: Rousseau, Pestalozzi; dziś Ellen Key i Marja Montessori. Zaś ta ostatnia ideał już oblekła w ciało: jej *Domy dziecięce* na dziś najgłębiej wniknęły i najlepiej przyswoiły sobie ideał samokształcenia. John Devey, uważając szkołę za najszerzej pojęte przygotowanie do życia również wiedzie ucznia drogą samokształcenia. Jego szkoła to laboratorja, pracownie, bezpośrednie obserwowanie pracy przyrody, zajęcia artystyczne i bibljoteka oddana do ręki ucznia jako bodziec do pracy samodzielnej. Ellen Key, rozwijając oślepiający obraz swojej szkoły przyszłości, bibljoteki stawia na naczelnem miejscu; to samo czyni Czechów w swojej genjalnie pomyślanej *Wolnej szkole.* Bibljoteka więc, książka, ale książka nie jako podręcznik, ale jako literatura wysuwana jest jako jeden z głównych środków samorozwoju i trzeba się zgodzić że najzupełniej słusznie. Jednakże należy zadać sobie pytanie, czy każda książka, czy na każdym stopniu rozwoju i czy w wyborze książek mamy prawo dać zupełną wolność uczniowi?

Czytając autobjografję wielkich ludzi zawsze stwierdzamy dobroczynny wpływ książki, choć nie była ona zawsze wybierana w myśl wskazań pedagogów. Słowacki Plutarcha czytał, nie mając dziesięciu lat i wrażenie odniósł kolosalne. Możnaby na to odpowiedzieć, że Plutarch jest jednak książką pedagogiczną, napisaną tendencyjnie w tym duchu. Ale Słowacki niewiele później czytał Woltera, czytał Goethego, Szyllera i innych już, wykraczających po za normę przepisaną młodzieży, a mimo to rezultaty były jaknajlepsze. Podobny sąd możnaby przytoczyć o wpływie literatury na Goethego, Szyllera, Rousseau'a i in. Ale tu znowuż nasuwa się zastrzeżenie: tak, rezultaty były dobre, lecz jedynie dlatego, że ludzie ci byli bądź poetami, bądź ludźmi nauki czy przodującej myśli filozoficznej, zaś sprawa zupełnie inaczejby się przedstawiała, gdybyśmy mieli do czynienia z pracownikami biur, handlowcami i t. d. Naturalnie, — jeśli na handlowca, pracownika biurowego, robotnika czy człowieka jakiegokolwiek innego fachu będziemy patrzeć jedynie pod kątem jego zajęcia, jeżeli wymagać będziemy od niego, by się przystosował do tego fachu na wzór maszyny. Tak, Słowacki jako urzędnik przedstawiał obraz godny pożałowania, Mochnacki miesiącami całemi nie bywał w biurze, Goethe bardzo szybko zapomniał swych studjów nad prawem. Jednakże nikt przecież nie będzie twierdził; że spowodował to zły wpływ literatury, a tylko bujna organizacja duchowa tych ludzi, dla których świat dany im był za ciasny. A świat taki jest zaciasny nietylko dla wielkich umysłów, lecz i dla małych. Człowiek jakiegokolwiek fachu nie może się w nim zamknąć, musi mieć jeszcze świat inny *poza fachem*, świat, który go będzie łączył z człowiekiem wogóle, jako jednostką myślącą i twórczą. A cały błąd peda-

gogiczny dzisiejszych społeczeństw polega na tem, że chcą one widzieć w człowieku jedynie *fachowca*. Pod kątem takiego widzenia rzeczy, literatura nietendencyjna musi się wydać szkodliwą. Mnie jednak chodzi nie o taki kąt patrzenia i nie o taką ocenę.

Ellen Key twierdzi, że niema książek szkodliwych ani nieodpowiednich, są tylko książki wielkiej wartości i małej, a pedagogia ma tu jedynie za zadanie dostarczenie dziecku książek pięknych i głębokich w treści.

Na to, że książek lichych nawet z najlepszą tendencją nie należy popierać, zgadzam się bezwzględnie, ale wydaje mi się nieco za ryzykowne twierdzenie, że każde arcydzieło można dać dziecku do ręki.

Książki Zoli, Balzaka, Żeromskiego, może nawet niektóre dramaty Szekspira, są zgoła nieodpowiednią literaturą dla dzieci. Głębokich myśli, zawartych w tych książkach, dziecko jeszcze nie pojmie, ale uderzy wyobraźnię jego moc obrazów niezwykle plastycznych, a odkrywających mu stronę życia, której jeszcze nie zna i znać nie powinien.

Dlatego muszę stanąć na stanowisku, że nie każda książka może być dana dziecku.

Ale stanowisko takie nie może stać się rutyną; tu, w każdym poszczególnym wypadku musi się pedagog oprzeć na doświadczeniu, opartem na obserwacyi poszczególnego dziecka. Wyobraźnia u dzieci ma różne formy, i najrozmaiciej oddziaływa na dziecko. Dla jednych czytanie książek jest to zgoła nieszkodliwe marzenie, u innych łączy się z potrzebą czynu, naśladownictwa, jeszcze u innych służy wyrabianiu się myśli intelektualnej i t. d., i t. d., dlatego, powtarzam, za probierz szkodliwości i nieszkodliwości książki może służyć jedynie każdorazowe doświadczenie, poprzedzone znajomością psychiki dziecka.

To się odnosi do treści książki, obok której równie ważną jest jej forma. Najnowsza literatura dla dzieci, a szczególniej ta, która się zrodziła w krajach skandynawskich, usiłuje docierać do bezpośrednich uczuć człowieka i tą drogą wywoływać nastroje, wrażenia.

Jest to żywcem przeniesione z literatury dla dorosłych i nietylko dorosłych, ale artystycznie nieco przerafinowanych natur. Dzieciom jednakże to nie odpowiada. Dziecko pozostaje z konieczności swej natury wielbicielem formy przestarzałej, ponad którą świat dorosłych już przeszedł. Ono żąda prostej, a szerokiej, rozlewnej i bogatej w kolorycie formy epickiej, a wyrasta to u niego na ogromnem poczuciu realności, której w nastrojach nie może pochwycić. Dla niego wrażenie, uczucie, wogóle jakikolwiek przejaw psychiczny, nie jest rzeczywistością i wszelka refleksya nad tem najzupełniej go nie wzrusza. Do niego przemawia czyn. I tu upodobania dziecka najzupełniej się schodzą z upodobaniami dorosłych, którzy pierwszy raz zapoznają się z literaturą, a nawet z ludźmi czytającemi wiele, ale o pewnem niewyrobieniu artystycznem. Dla nich książka nastrojowa zawsze będzie książką nudną, niełądną. Na ten fakt powinni zwrócić uwagę ludzie, pracujący nad wyrabianiem zamiłowania do dobrych książek wśród ludu, i idąc po linii upodobań czytelników stopniowo i delikatnie rozbudzać smak i w innym kierunku. Narzucanie swojej opinii, jak to się robi u nas często, wcale się do tego nie przyczyni, a nawet może się okazać w skutkach bardzo ujemne, bo zrazi, zniechęci do czytania wogóle. To samo z dzieckiem: ono chce rozumieć książkę i taką tylko należy mu dawać. Nasza literatura dla dzieci nie zawiele ma przedstawicieli, o których można powiedzieć, że umieją pisać dla dziecka.

Wacława Augustyniakówna.

(D. n.).



M. RULIKOWSKI.

Dawne gmachy i sale teatralne
w Warszawie.

(CIĄG DALSZY).



Powracając do Teatru w Pałacu radziwiłłowskim, stwierdzić i tym razem musimy, że nie posiadamy dokładnego jego opisu. Wiemy tylko, że był niewielki i że miał trzy piętra. Lóż było na parterze i na drugiem piętrze po 12, na pierwszem—14. Widok zewnętrzny różnił się od obecnego, przebudowywano bowiem ten Pałac dwukrotnie: w r. 1818 według planów Aignera, przyczem na dachu ustawione figury, zdjęte z bramy krakowskiej przy jej burzeniu, oraz w r. 1852 pod kierunkiem Kropiwnickiego.

Przedstawienia w Teatrze radziwiłłowskim odbywały się do r. 1779 (później, jak zobaczymy, wznowiono je); gdy bowiem właściciel Pałacu, ks. wojewoda wileński Karol Radziwiłł, zapowiedział rychły, a zgoła po długiej niebytności w kraju niespodziewany powrót, antrepryza teatralna otrzymała polecenie opuszczenia murów w ciągu 48 godzin. Wobec braku jakiejkolwiek innej, odpowiedniej na teatr sali, wypadło pomyśleć o budowie specyalnego gmachu.

Sprawę tę ujął w swe ręce ówczesny, drugi z kolei po Sułkowskim właściciel przywileju, kamerdyner króla, starosta piaseczyński Franciszek Ryx. W d. 1 czerwca 1779 r. wziął on wraz ze swą małżonką, Ludwiką z Melinów, w dzierżawę wieczystą grunta, położone przy ul. Długiej, na przeciwko kościoła Pijarów, a przytykające do gruntów Pałacu Rzeczypospolitej, t. j. Krasińskich. Na wydzierżawionej (za sumę 100 zł. rocznie) przestrzeni stanęły tegoż jeszcze roku według planów Bonawentury Solari'ego: teatr oraz dwie kamienice, wychodzące na ul. Św.-Jerską. Funduszów na budowę—540.000 zł. — dostarczył Król, który w ten sposób stał się faktycznym właścicielem gmachu teatralnego i obu domów, aczkolwiek w mniemaniu współczesnych, pieniądze, jak wyraża się Bogusławski, „nibyto z kieszeni właściciela przywileju wychodząc, pod jego imieniem postawioną budowlę własnością jego uczyniły". Zgodnie z istotnym jednak stanem rzeczy cała posesya figurowała w sporządzonym po śmierci Stanisława Augusta inwentarzu pozostałego majątku, przyczem między wierzycielami wymieniony jest Ryx z sumą 55.000 dukatów „za teatr z przyległościami". Jeszcze w r. 1808 gmach należał do masy spadkowej, poczem przeszedł na własność spadkobiercy Króla, księcia Józefa Poniatowskiego, po jego zaś śmierci odziedziczyła go siostra księcia, pani Tyszkiewiczowa.

Wzniesiony z niezwykłym pośpiechem (kamień węgielny położyła Elżbieta Lubomirska, małżonka marszałka w. k., w d. 11 marca, inauguracyjne zaś przedstawienie odbyło się d. 25 listopada) — nowy Teatr był niewielki i pozbawiony wszelkich wygód. Szczupła scena pozwalała na umieszczenie zaledwie czterech z każdej strony kulis, w większych zaś baletach nie mogli się na niej pomieścić wszyscy tancerze. Malarni, składów na dekoracye i ubiory wcale nie postawiono; aktorzy musieli ubierać się w przyległej, jednej z poprzednio wzmiankowanych kamienic, którą dla celów teatralnych Bogusławski jeszcze w latach 1804—1808 dzierżawił od księcia Józefa. Sala dla widzów obejmowała miejsca na parterze, loże parterowe, 1-go piętra i na galeryi, wreszcie paradyz.

W dwanaście lat po otwarciu, w r. 1791, nowy Teatr znajdował się w takim już stanie, że należało czemprędzej przystąpić do restauracyi. Zbutwiałe podwaliny i wiązania za poruszeniem w próchno się rozsypywały, wobec czego nie mogło być mowy o dawaniu dalszych przedstawień. Zabrano się więc do przebudowy. Kierował nią malarz teatralny, zarazem budowniczy, włoch Maraino; koszta całkowicie pokrył i tym razem Król. Przebudowa ta rozszerzyła nietylko salę widzów, mianowicie parter i loże, ale przedewszystkiem scenę, którą o dwie trzecie powiększono. Nadto dobudowano sale redutowe, służące zarazem za malarnie, garderoby i sale na próby.— W r. 1795 w Teatrze urządzono magazyn zbożowy; w latach następnych, po wznowieniu widowisk, gmach nie ulegał większym przeróbkom—i w takim stanie przetrwał do dnia 21 lutego 1833 r., kiedy ostatnie w nim odbyło się przedstawienie. Gdy zaś muzy porzuciły jego progi, rozmaite jeszcze przechodził koleje, dwukrotnie zmieniając właścicieli (od r. 1847 był nim dr. Maurycy Wolf w spółce z dwoma innymi, w roku zaś 1876 nabył gmach za sumę 180.000 rb. Simeon Kahan). Przez długie lata w dawnym Teatrze mieściły się składy Banku Polskiego, w związku z czem odbywały się na Placu Krasińskich jarmarki na wełnę, przeniesione następnie do zabudowań przy ul. Nowogrodzkiej. W pierwszych dniach sierpnia 1884 roku przystąpiono do burzenia Teatru Narodowego. Niewielka część murów przetrwała jeszcze lat kilka, ustępując wreszcie miejsca pod kamienicę, która wznosi się dziś między Placem a ul. Nowiniarską i oznaczona jest numerami policyjnymi 1—5.

Na zakończenie wspomnienia o Teatrze Narodowym zaznaczyć należy, że na-

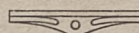
zwa ta, dziś potocznie używana, przyjęła się dopiero w epoce Królestwa Kongresowego, przedtem zaś rozmaicie Teatr przy ul. Długiej określano. Na najdawniejszych afiszach, kiedy gmach teatralny był tylko jeden, spotykamy zapowiedź widowiska „na Teatrze publicznym". Z czasem, gdy od r. 1791 w nowo urządzonej przez Marvaniego sali w Pałacu radziwiłłowskim zaczęto znowu dawać przedstawienia, a następnie przybyły do tej jeszcze inne sale teatralne—okazała się potrzeba odróżnienia z pomocą ustalonej nazwy. Został więc późniejszy Teatr Narodowy „Wielkim", za czasów pruskich nazywał się „Wielkim Teatrem przy Kolegium krajowem", w epoce zaś Księstwa Warszawskiego—ponownie „Wielkim" bez innego określenia. Sama zaś nazwa „Narodowy" źródło swe miała w znacznie dawniejszem określeniu widowisk w języku polskim i trupy polskiej w odróżnieniu od cudzoziemskich, włoskich, francuskich i niemieckich, jednocześnie lub na przemian co roku w drugiej połowie wieku XVIII-go i pierwszych latach XIX-go w Warszawie goszczących. (Mimochodem przypomnę tu, że trupę niemiecką w latach 1803 — 1806 utrzymywał na własne ryzyko sam Bogusławski, pragnąc w ten sposób niedopuścić do zajęcia placówki przez przedsiębiorcę poznańskiego Döbbelina. Na imprezie tej stracił Bogusławski 30.000 złotych). Przy takiej różnojęzyczności widowisk, zmieniających się najczęściej w jednym gmachu, należało w jakiś sposób odróżniać je; pisano przeto w nagłówku afisza, iż dnia tego a tego „na Teatrze publicznym aktorzy narodowi (innym razem: francuscy, niemieccy lub opera włoska buffo) — będą mieli zaszczyt reprezentować" taką to a taką sztukę. Gdy zaś w r. 1781, wskutek nieporozumień z przedsiębiorcą Bizestim, zmuszeni byli polscy artyści własną utworzyć dyrekcyę i w tym celu zrzeszyli się (tak, jak to ma miejsce obecnie po 137 latach), wówczas jako nazwę zrzeszenia obrali miano, pod którem powszechnie ich znano, otwierając Teatr, jak pisze Bogusławski, „pod nazwiskiem Aktorów Narodowych".

Nie przekraczając granicy wieku XVIII-go przejdziemy teraz do omówienia teatrów, wzniesionych przez Stanisława Augusta.

Poniatowski, największy bez wątpienia, jakiego Polska wydała, mecenas sztuki, i dla nowopowstającego teatru polskiego — którego właściwym nazwać go musimy twórcą—mężem był istotnie opatrznościowym, przynajmniej w kierunku materyalnej pomocy. Troska jednak o rozwój sceny publicznej nie wystarczała mu. Nie chęć, jak u wielu innych władców, naśladowania wzorów Wersalu, z całym jego trybem zabaw i uroczystości, ale istotna i wrodzona p trzeba przebywania w atmosferze sztuki, może potrochu również i potrzeba stworzenia sobie ram z rodzaju tych, w których zawsze czuł się lepiej, niż na tle sali konferencyonalnej, — wywołały pragnienie posiadania teatru prywatnego, dworskiego. Ostatni król, który przez swą bezsilność w dziedzinie polityki burzył, a natomiast budował w dosłownem znaczeniu, przez ciąg całego panowania zajmując się upiększaniem dawnych i wznoszeniem nowych gmachów—ulegając temu pragnieniu związał swe imię z dwoma największą zdolnymi wzbudzić ciekawość teatrami w Warszawie.

Będziemy w tej chwili o nich mówili, przedewszystkiem jednak zaznaczmy, że to, co w tym kierunku Stanisław August zdążył urzeczywistnić, stanowi albo część tylko jego zamiarów, albo nie dorasta do marzeń króla-estety. Z dochowanych bowiem rysunków, znajdujących się obecnie bądź w prywatnych zbiorach, bądź też i głównie, w zbiorach Akademii Sztuk Pięknych w Petersburgu, przekonywujemy się, że dążył Stanisław August do posiadania teatru daleko wspanialszego, niż ten, na jaki mógł sobie pozwolić. Czy miała to być sala w zamierzonem skrzydle pałacu łazienkowskiego, czy teatr w części Zamku warszawskiego, mającej ciągnąć się na tem miejscu, gdzie obecnie zaczyna się Nowy Zjazd ku Wiśle, — wszyskie te i szereg innych projektów przewyższają rozmiarami i bogactwem ozdób rzeczywistość Teatru w Pomarańczarni.

(D. c. n.).



W KALEJDOSKOPIE SCENY.



Z ostatnich premier, jakie oglądaliśmy na scenach teatrów warszawskich, godne zanotowania są trzy: „Skąpiec" w teatrze Polskim, „Gwiazda Syberyi" w Letnim oraz „Złota ciocia" w teatrze Małym.

„Skąpiec" Moliera jest arcydziełem, które na scenach naszych święciło wielkie tryumfy, a sama rola dawała sposobność wielkim aktorom, jak Rapacki lub Rychter, do stwarzania pierwszorzędnej kreacyi. Z puścizny wielkiej niewątpliwie nic nie uronił dyr. Solski, który po „Kaliguli" dał nam Harpagona. Kreacya jest zaprawdę dużej miary, choć różni się zasadniczo od innych zgoła odmiennem stawianiem roli, jej ujęciem oryginalnem w ogóle, w drobiazgach opracowaniem starannem, pomysłowem. Harpagon w interpretacyi Solskiego może stanąć śmiało obok Harpagona Rapackiego naprzykład: Solski gra go inaczej, lecz niewątpliwie tworzy postać równie zajmującą i w wielkim stylu, przeprowadza rolę w myśl tego, jak ją sobie wyobraził, pod każdym względem doskonale z wybitną indywidualnością, z dosadną charakterystyką i dużą siłą komiczną. Scena za sceną zmienia się, kształt coraz wyraźniejszy przybierając, charakter osławionego skąpca, a wszystkie charakterystyczne cechy tej postaci rysują się jasno i wyraźnie w grze doskonałej, wewnętrznej, skupionej, nacechowanej artyzmem. Pewna konieczna przesada idzie tu w parze z wysokim umiarem, składając się na niepospolitą całość.

Wogóle wystawiono „Skąpca" z pietyzmem, obsadzono starannie, acz może niezupełnie właściwie, grano w pozostałych rolach może nierówno, lecz z widocznem usiłowaniem nadania grze jednolitego tonu i stylu. Starali się o to usilnie wykonawcy ról głównych pp. Renardówna, piękna i miła Marjanna, Modrzewska, ujmująca i wdzięczna Eliza, Biegański (który może najbliższy był zasadzie gry Molierowskich sztuk), Machalski (kucharz). Kleonta grali pp. Mierzejewski i Ziembiński naprzemian, obaj — z rutyną i sumiennością, lecz bez powodzenia.

Widowisko poprzedziła pięknie opracowana konferencya literacka p. Schillera o teatrze Molierowskim.

W teatrze Letnim wznowiono starą, ale zawsze mile widzianą „Gwiazdę Syberyi" Leopolda hr. Starzeńskiego. Melodramat w lepszym stylu, nacechowany wielkiem uczuciem patryotycznem, ckliwy i nieco naiwny, o budowie archaicznej, pełen scen o wysokiem napięciu dramatycznem. Grano „Gwiazdę Syberyi" starannie: tytułową rolę powierzono p. Bończy, artystce rutynowanej, która grała z mocą ekspresyjną. W pozostałych rolach byli bardzo dobrzy pp. Jarszewski, Kuncewicz, Pawłowski, Trapszo, a w pomniejszych — pp. Małkowski i Kiernicki. Na pierwszy plan wysunął się p. Grodnicki, artysta utalentowany, który rolę Grawiczyna grał doskonale, z dużą siłą charakterystyki, z mocą dramatyczną. Wyreżyserował sztukę bez zarzutu p. Knapczyński.

W teatrze Małym zajmująca komedya Pawła Gavaulta „Złota ciocia" nie przestaje ściągać publiczności, która bawi się doskonale. Komedya jest lekka, wytworna w dyalogu, pełna humoru, dobrze pomyślanych sytuacyi, nacechowana tym pogodnym i miłym sentymentem, jaki w poprzednich sztukach tegoż autora „Panna Ziuta—moja żona" i „Pomysł panny Franciszki" zauważyć się dawał. Gavault należy do rodziny autorów tej samej, co Weber, Rey, Caillavet i de Flers, których sztuki tak wielkiem wszędzie cieszą się powodzeniem. Wyreżyserował sztukę p. Borowski bardzo pomysłowo i starannie.

Tytułową rolę grała p. Górska, która w tego rodzaju rolach jest zawsze doskonała. Rola Albertyny należy do popisowych ról p. Mrozińskiej, która gra z humorem, dyalog prowadzi z gracyą, wykwintnie, lekko. Wybornie grają pp. Gzylewska, Herburtówna, Broniczowa, Neubelt, Chmielewski, a w głównych rolach niepospolite zyskali powodzenie pp. Kindler i Ratowski; gorąco oklaskiwano wykonawców wszystkich ról wogóle, zresztą zasłużenie, gdyż „Złota ciocia" należy do sztuk najlepiej granych przez zespół teatru Małego, który w ciężkich warunkach obecnych stara się utrzymać na odpowiednim, dość wysokim poziomie artystycznym.

Teatr na Pradze, z dnia na dzień coraz większe zyskujący powodzenie, gra obecnie „Azję Tuchaj-Beyowicza", dobrą przeróbkę sceniczną powieści Sienkiewicza.

Tad. Kończyc.



CELINA DANGLÓWNA.

Z ZIEMI MOGIŁ.

Wskroś zmierzch jesienny i wskroś senną ciszę
woń pól twych ornych płynie ku mnie, ziemio.
Wiatr się po rośnych przydrożach kołysze,
zwartem półkolem chaty moje drzemią.
Wszystkie twe szepty czuję, wszystkie słyszę,
aż je wspomnienia bolesne oniemią,
jak w szpony, w dłonie drapieżne pochwycą
i łez gorących rzucą nawałnicą.

Skib twoich wilgnych fjoletem błyszcząca,
w mgłach rozesłana o cichym wieczorze, —
oto po wschody od zachodów słońca
krwawe cię zewsząd opłynęły zorze —
I jesteś, ziemio, jak harfa dźwięcząca,
na której w gniewie grają palce Boże,
struny targając śpiewne z całej siły,
by się z nich jęki i łkania dobyły.

Wiatr niesie z dali jakieś dziwne wieści,
że oto twoja wybiła godzina.
Bór, jak Ogrójec oliwny, szeleści. —
Na śmierć męczeńską dałaś swego syna —
łono ci przebił miecz siedmiu boleści
i ostrzem w głąb się serca twego wrzyna,
a gdy cię męki nadmiarem oniemi,
płaczesz po nocach rosy rzęsistemi.

Daj przywrzeć usta do tej świeżej rany,
by stłumić łkanie, co się w piersi zrywa —
zagon całować twój, krwią obryzgany —
i czuć, że jesteś, ziemio, jeszcze żywa,
że posiew, w czarne twe bruzdy rzucany,
bujnym się plonem ku słońcu dobywa
i łanem kłosów złocistych zaświeci,
gdy prochom twoim zabłyśnie Dzień Trzeci —

Wówczas, w te pyły mogilne ciężarna,
cała się z krwawej otrząsnąwszy rosy,
wielkim przepychem obfitego ziarna
z przedziwną mocą wystrzelisz w niebiosy —
staniesz wszechwładna, potężna, ofiarna,
jasna, szumiąca dojrzałemi kłosy —
i — by tych kłosów ciężkiem ziarnem były —
prochy swe wszystkie oddadzą mogiły.

ZIEMIA OBIECANA.

Gdy po dniach męki i tęsknoty wielu
dojdziesz do Ziemi Wolności, Narodzie,
zastaniesz pola w zbóż złotych weselu,
w mleku skąpane i pachnącym miodzie,
łąki, tonące w bujnem, gęstem zielu —
a zaś o słońca różowym zachodzie
przez rozwonionych powoi kielichy
nadpłynie wieczór pogodny i cichy —

Myśmy już weszli, Straż Przednia, lecz słońce
nie lśniło złotem, a było czerwone,
zastygłe, martwe i oświecające
czarne ugory, odłogiem rzucone —
a gdyśmy usta i piersi łkające
na skiby kładli, rosą osrebrzone,
tośmy przywarli, jak do świeżej rany:
tak dyszał męką zagon niezorany —

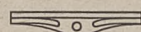
Jakżeż tę ziemię oddamy w przyszłości,
nieuprawioną, leżącą odłogiem,
która prócz dzikich chwastów nic nie rości —
życiem tylko skarży się ubogiem —
a taka smutna i pełna żałości,
jak krzyk rozpaczy, rzucony przed Bogiem —
my, co opiekę i straż nad nią mamy,
jakżeż tę ziemię w spuściźnie oddamy?

Niech nam na głowy znużone i siwe
przekleństwa gorzkich słów nie rzucą syny,
żeśmy młodości naszej moce żywe
na bezowocne skazali bezczyny
i nieuprawną zostawili niwę,
na której, jako znak ciężkiej przewiny,
czarne i puste ciągną się zagony —
choć ostre pługi mieliśmy i brony.

Więc póki starczy silnej, młodej woli
i nieprzepartej do szczęścia tęsknicy,
dopóty twardo stać będziem na roli,
my, dnia szarego cisi pracownicy, —
aż z trudu, który nam dłonie mozoli,
wykwitniesz, w Życia młodego krynicy
po latach głuchej martwoty skąpana,
Ziemio rodząca, Ziemio obiecana!

Puste się twoje zazielenią pola
w młodości pełnym, wiosennym rozkwicie. —
dreszczem poczynań czarna zadrży rola,
bogatem ziarnem zasiana obficie —
zbóż twych zabłyśnie złotych aureola —
w każdej z bruzd twoich obudzi się życie —
i staniesz jasna, w żywych blaskach słońca
przepychem kłosów na wietrze szumiąca.

Wieczór zaś będzie pogodny i cichy,
sycony wonią, a od zórz różany,
gdy przez łąk kwietnych zroszone kielichy
Naród iść będzie — a ujrzawszy łany
dojrzałe, lata królewskie przepychy,
na ziemię padnie, szczęściem rozełkany —
Wtedy — po znojów i trudów krwawicy
zejdziemy z pola, cisi pracownicy.



ZOFJA R. NAŁKOWSKA.

Sielanka.

(DOKOŃCZENIE).

W dniu śmierci pani Dziobakowej, dość późnym wieczorem, zastukał do naszych drzwi pan Dziobak.

Wyszłyśmy doń zlęknione, całe jeszcze pod wrażeniem smutnej wieści, gotowe do każdej sąsiedzkiej przysługi przez wzgląd na drogą nam pamięć zmarłej.

O tym czasie Józef już był żonaty z Weronką i mieszkali osobno, a miejsce Józefa zajął w naszym domu niejaki Pazio, chłop duży, nierozgarnięty, a nawet zupełnie pogłupawy. O tego to Pazia właśnie rozchodziło się panu Dziobakowi. Miał zostać zupełnie sam na noc z ciałem, w pustym domu, więc zawsze było mu trochę nieprzyjemnie. Przecież—jakby nie było—zawsze: ciało. A odejść i zostawić domu tak samo nie mógł, bo zaraz się zwiedzą i okradną. Przyszedł więc zapytać się, czy Pazio nie mógłby u niego przenocować. Ależ oczywiście, nic nie mieliśmy przeciwko temu.

Odbył się skromny pogrzeb i panią Dziobakową pochowano niedaleko jej pierwszego męża. A Dziobak sam został na gospodarstwie. Przestał chodzić do roboty, kopał szpadlem w ogrodzie, karmił kury, gotował sobie jedzenie. Wciąż było widać jego schyloną postać, dreptającą wkoło gospodarstwa.

Ale pan Dziobak czuł, że to zajęcie nie dla niego. I gospodarstwo szło lada-jako i zarobku nie było. Pan Dziobak zaczął coraz bardziej posępnieć i zniechęcać się do wszystkiego.

VIII.

Nie przeszło czterech tygodni, kiedy zaczęto przebąkiwać, że Dziobak szuka żony, że sobie już coś upatrzył w miasteczku. Nie chciałyśmy dawać wiary tym pogłoskom. O, jakże nic trwałego niema na ziemi, jakże człowiek nie umie uszanować nawet wspomnienia!

Ale pogłoski nie milkły, przeciwnie, stawały się coraz bardziej dokładne. Mówiono już, że chodzi o jedną starą pannę z miasteczka, która trochę jest krzywa i nawet głucha, ale się Dziobakowi spodobała. Mówili, mówili — aż pogłoska stała się faktem. W dwa miesiące i tydzień po śmierci pani Dziobakowej pan Dziobak wprowadził nową żonę pod swój dach.

Nie mogłyśmy się poprostu pogodzić z tym faktem. Jakto: pod ten dach, do tego domu, który tyle tamtej zawdzięcza, do tego samego pokoju, w którym duch tamtej czuwający jeszcze się unosi, jeszcze żyje!

Nie chciałyśmy się wcale zbliżać do domku Dziobaków, z którym tyle wspomnień nas wiązało. Nie chciałyśmy poznawać ani nawet widzieć tej kobiety, która tak szybko zajęła miejsce tamtej.

Zdala jednak patrząc, nie mogłyśmy nie zauważyć jej, tej nowej, jak pod nieobecność Dziobaka, krzątała się koło gospodarstwa. Była młodsza znacznie od swego męża, ale rzeczywiście nie miała ładnej linji bioder i trochę jakby na jedną nogę utykała.

Weronka, a właściwie Józefowa, twierdziła o niej, że jest dobra gospodyni, nie gorsza od nieboszczki. I rzeczywiście. Chociaż ślub odbył się już dobrze na wiosnę, nowa żona Dziobaka zdążyła i kur parę nasadzić i zasiać mnóstwo kwiatów i wszystko koło domu obrządzić. Nie można nie przyznać czegoś, co jest oczywiste. A przecież ciężko nam było przywyknąć do myśli, że miejsce po zmarłej zostało tak całkowicie, tak zupełnie zajęte.

I oto siedzimy sobie już latem w ogrodzie, gdy zjawia się Wikta, która jest u nas teraz na miejsce Weronki, i na cały głos powiada:

— Proszę pani, przyszła ta Dziobakowa i pyta się, czy pani nie weźmie jajek.

— Co za Dziobakowa? — oburzyłyśmy się. — Jaka znowu Dziobakowa?

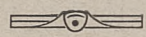
— Ano, żona tego Dziobaka, co tu w dole.

Okazało się, że nikt inaczej nie nazywał nowej żony Dziobaka, tylko: Dziobakowa.

Cóż robić. Jajka były potrzebne, należało, chcąc nie chcąc, zapoznać się z tą nową Dziobakową. Musiałyśmy przyznać, że jest to kobiecina niezła, dobroduszna i cicha. Nie ma ona jednak w sobie nic z tego, co takim szacunkiem zdejmowało nas w jej poprzedniczce. Na każdym kroku czuje się, że to nie to samo.

I życie płynie, jak płynęło. Domek Dziobaków stoi, jak stał, w ogródku kwiaty bujnie rosną i pachną na wiorstę wkoło, kury, uwiązane za nogę, leżą, wyciągając smutnie dziób za kurczętami, jakiś nowy chudy kot pałęda się koło werandy, pies poszczekuje skowytliwie. Tylko gospodarze tego domku są teraz — młodsi.

A ludzie, jak to ludzie, śmieją się, że gdy teraz Dziobak umrze z kolei, to jego młoda żona weźmie sobie drugiego męża i ten znowu będzie się nazywał Dziobak...



Z. MORAWSKA.

A drzewa szumiały...

Obrazek z r. 1863.



(CIĄG DALSZY).

VI.

Późno już było wieczorem, gdy Borsuk z całym prawie oddziałem skierował się ku zachodowi, drożyną przez las wiodącą. Donatowi zaś i Bruzdzie z setką ludzi, kazał się skierować na prawo i dotrzeć do wioski, szarzejącej w bezprzestannej mgle, ochraniającej swym płaszczem powstańców. Wkrótce ukazał się dwór biały, pokaźny, otoczony w górę strzelającemi topolami.

Donat, Bruzda i cały orszak liczyli, że w onym dworze będą dobrze przyjęci i przepędzą noc pod gościnnym dachem.

Ale ksiądz Madura, który ich prowadził rzekł:

— Wątpię, — nadto dwór ten znany, żebyśmy w nim mogli mieć bezpieczne schronienie.

Mimo to udali się przez podwórze gospodarskie.

Dwie młode panny krzątały się po nim.

Jedna spojrzała na księdza i rzekła:

— Jakże nam przykro, że nie możemy dać wam gościny.

Druga wręczyła papier dodając:

— Przed godziną przyniesiono,—ojciec pojechał.

— Dokąd?—zapytał Donat.

— Któż wie!—proszę za nami!—dodała pierwsza. I brodząc po błocie prowadziła ich dalej w podwórze, otoczone murowanemi budynkami. Ciemność była zupełna,—kobiety jednak szły pewnym krokiem po rozmiękłym śniegu, w którym grzęzły ich stopy obute w wysokie buty. Pewną też ręką otworzyła jedna z nich wierzeje wielkiej stodoły, druga wyjęła z pod obszernego płaszcza latarkę wzniosła ją, jak mogła najwyżej. Przy tem słabem świetle ujrzano dwie fury naładowane.

— Przywieźlyśmy broń z Prus,—szczęśliwie się udało—trzeba tylko zaprządz i dalej—mówiła jednym tchem, z pewnym tryumfem.

— I wóz naładowany żywnością! — dodała druga.

Donat i Bruzda byliby radzi przypatrzeć się tym śmiałym kobietom, których głos młody, pewny i nielękliwy wzbudzał w nich podziw.

Nie było jednak czasu.

Zaraz jedna z nich się ozwała:

— Ojciec polecił nam powiedzieć, że dla waszego bezpieczeństwa, trzeba żebyście zaraz poszli dalej.

I przyświecając latarką wskazała papier trzymany dotąd przez Donata nierozpieczętowany.

Ten, jakby nieco zawstydzony, rozerwał pieczęć i przeczytał:

„Przedzierać się nie tracąc czasu, na kurpie; we wsi Gapa, będzie przewodnik...

— Zaprzęgać! — zawołał Donat, wskazując wozy.

Zdobyte konie, doskonale się przydały.

Ci, co mieli podjezdki, zamienili je na przyzwyczajone do wierzchu konie kozackie, swoje zaś zaprzęgali do wozów.

Kobiety dopomagały, dając uprząż.

Nikogo nie budziły; same się krzątały z taką wprawą, jak gdyby nigdy nic innego nie robiły.

— A brat? spytał je ksiądz.

— Od trzech dni wyjechał, z nim dwaj inni—odrzekła jedna, a obie westchnęły.

Jednocześnie zaprzęgły do małej bryczuszki i wskoczywszy do niej, zawołały:

— Wyprowadzimy na dobrą drogę, potem już łatwo będzie trafić.

I nie czekając,—jedna z nich cmoknęła na niewielkiego kasztanka.

Ten przyzwyczajony znać do jej głosu poczłapał truchcika po błocie.

Dzielne dziewczyny! — pomyślał Donat, usiłując napróżno przeniknąć osłaniające je kaptury.

— Ksiądz je zna?—spytał Bruzda.

— Ba!

— Młode? — ładne?

— Ba! była znów odpowiedź.

— Siostry?

— A no!

— Mógłby też ksiądz, coś więcej powiedzieć.

— Co ci potem!—nie ujrzysz ich więcej.

— A może?—przekomarzał się Bruzda.

— Nic ci z tego,—obie mają narzeczonych, za którymi i za bratem westchnęły,— wykrztusił ksiądz nareszcie.

— Niechże ksiądz powie przynajmniej ich imiona?—nalegał Orczak.

— Marya i Anna! — wykrztusił, uśmiechając się nieznacznie.

— Marya i Anna — powtórzyli sobie obaj młodzi dowódcy. I dalej prowadzili oddziałek.

Po niejakimś czasie las zamajaczał. — Śnieg z deszczem przestał jakoś padać, rozjaśniło się nawet, bryczuszka stanęła, a jedna z panien rzekła:

— Prosto przez las, — na drugiej stronie lasu czekać będzie przewodnik!

— I zaciąwszy konika, skręciła w bok, pozwalając przejechać oddziałowi.

— Gdybyż taki przewodnik, jak wy! szepnął Donat.

— Dziękujemy!—zawołał Bruzda.

Nie otrzymał odpowiedzi.

Oddziałek wjeżdżał w las.

Bryczuszka brnąc po błocie, jechała z powrotem.

Drogi ich się rozeszły.

VII.

Pierwsze łatwe, a niespodziewane zwycięstwo rozzuchwaliło naszych braci.

Szli dalej z dobrą miną. Z pewnością w dalsze powodzenie.

Podśpiewywali nawet:

Pójdziem dalej, pójdziem śmiało,
jest nas garstka, jest nas mało,
lecz każdy z nas zuch!
Od Krakowa do Warszawy,
wszystkim znane nasze sprawy,
jeden rządzi duch!

Noc, znużenie, śnieg i deszcz, wszystko było dla nich obojętne.

Duch, o którym śpiewali, rządził nimi i podtrzymywał znużone ciało.

Wtem rozległ się wychodzący z zarośli odgłos:

— Trzsz, trzsz, trzsz!

Było to, jakby trzeszczenie łamanych gałęzi. Umilkli w tej chwili.

Przedzierający się leniwie dzień pozwolił im dojrzeć wychodzącego z zarośli barczystego, w dostatnią bekieszę i baranią czapę odzianego mężczyznę.

Obrzucił jadących badawczem spojrzeniem, zawisł niem na ładownych wozach i głosem pewnym, przywykłym znać do rozkazywania zawołał:

— Za mną!

Spełniono rozkaz.

Zarośla były prawdziwemi zaroślami, konie się potykały, wozy trzeba było unosić, żeby je przeciągnąć.

Dzień wstawał pogodny, jasny; słońce wielką złotą tarczą poglądało na świat, budząc w sercach otuchę.

Otuchą też, a raczej ostoją był bielejący dwór, do którego przewodnik skierował oddziałek.

Odrazu wszystkie lica poweselały.

Poweselały też jeszcze więcej, gdy ujrzano opodal rozłożone ognisko, nad niem zawieszone kotły, z których buchała para i rozchodziła się woń smakowitego jadła.

— Starszyzna, słabsi pod dach! — komenderował przewodnik, to jest ni mniej ni więcej, tylko p. Nikodem, dziedzic onego dworu.

Pomieścił też tak przybyłych, że został pod niebem ten tylko, komu woń gotowanego jadła nie pozwoliła odejść od kotła.

Inni rozlokowani zostali w budynkach i obszernym, choć starym dworze.

Przybyli znaleźli już gości, dla których i sam gospodarz i inni jego mieszkańcy z wielką byli atencyą.

— Najpierw posiłek i wypoczynek, ozwał się p. Nikodem, potem zabierzemy się do roboty.

Nie dano sobie powtarzać.

D. c. n.



LEONIA GRABSKA.

SPĘTANI

POWIEŚĆ.

(CIĄG DALSZY).

— Biedne dziecko, co ci ludzie zrobili? wyszeptała z łzą w oku pani Iza.

Nina ujęła z uśmiechem rękę przyjaciółki i mówiła dalej.

— Jednego dnia, gdy wracałam konno przez las, zaskoczyła mnie burza. Wierzchowiec był młody i niespokojny, cięty przez muchy, zrywał się do domu, gdy wtem piorun tuż blizko uderzył o drzewo. Koń spiął się i jak szalony pognał naprzód. Nie wiem, jak długo tak pędził, gdy wtem drugi koń rozpędzony zajechał mi drogę, a zręczny jeździec, dopadłszy mego wierzchowca zdarł go lejcami za pysk i ogłuszonego tym niespodziewanym napadem, wstrzymał. Gdy ochłonęłam trochę, ujrzałam na roslym, karym koniu bardzo eleganckiego młodego człowieka, który z niepokojem wypytywał mnie, jak się czuję, przedstawiwszy się wprzód. Dziwnym trafem nazywał się też Zagórski tylko na imię miał Bohdan.

Pani Iza drgnęła, Bohdan... czyżby to był ten nieszczęśliwy starszy brat Jerzego? Taki piękny i wykształcony, ten który tylu kobietom zawrócił głowy, a wkońcu zastrzelił się, przegrawszy grubo w karty. Nie, to niepodobna, skąd by się w tamtym stronach znalazł, o ile wiem,—myślała pani Iza—nie miał w Poznańskiem krewnych. Nerwowym ruchem sięgnęła po papieros a zapaliwszy go szepnęła.—Nieznośne komary, chyba nas dziś zjeść chcą—ale cóżeś ty tak zamilkła, Nino?

Nina zdawała się niesłyszeć i niewidzieć, dopiero zbudził ją gwar dalekich głosów męskich, zbliżających się ku nim. Wstała szybko i rzekła biorąc panią Izę za rękę:—Chodź Izo, nad wodą chłodno i mąż twój gniewałby się, widząc cię tu jeszcze o tej porze.

Obie kobiety zniknęły wkrótce w głębi korytarzy.

W pół godziny potem, Zygmunt przechodząc koło pokoju Niny, zdziwił się, zauważywszy, że panie jeszcze nie śpią, rozmawiając w najlepsze.

Rzeczywiście sen odbiegł przyjaciółki.

Siedziały naprzeciw siebie, w wygodnych fotelach, a przyćmiona różowym abażurem lampa rzucała słabe światło na te dwie, tak niepodobne do siebie, a tak piękne główki. Na oczach Niny widoczne były ślady łez, a twarz pani Izy zaćmiewał smutek. Lekkie fałdy białego szlafroczka, otulały ją, a włosy luźno upięte bujnemi splotami spadały na szyję.

— A więc, Nino,—mówiła—był jednak mężczyzna, który ci się podobał, który cię kochał i był dumny z posiadania twego serca, czyż tak? Bo przecież nie mogłaś nie pokochać go. piękny, szlachetny, odważny, uratował ci życie, zdobył przyjaźń i zaufanie twego wuja, dopomógł do przyjazdu matki. Ale czemu dopiero teraz opowiadasz mi o nim, czyżbyś przez tyle lat zachowała to w tajemnicy? A teraz, gdzie on, czy są jakie przeszkody—żałoba?

Nina żywo powstała z fotela. Twarzyczka jej zbladła, oczy błyszczały jak dwa ciemne ametysty, w oprawie złotych rzęs. Zacięła usta do krwi i jakimś zniechęconym ruchem załamała ręce.

— Tak, masz racyę, tyle lat, a ja nie mogę o tem mówić spokojnie, choć miałam czas ostygnąć i zapomnieć tem więcej, że śmierć maże wszystkie winy. Nie przerywaj mi, muszę skończyć, wypowiedzieć odrazu wszystko; nie lubiłam nigdy spowiadać się długo, ale pewna jestem, że rozgrzeszysz mnie, ty, coś tak kochała. Wszystko tak było jak w bajce, — mama przyjechała, odmłodniała i poweselała, wuj promieniał, widząc nas dwoje młodych ciągle razem. Przeżywałam urocze dni szczęścia, niezmącone żadną chmurką niepokoju. Byłam tak młoda, a on tak umiał zdobywać serca, a cóż dopiero serduszko podlotka? Jednego dnia, gdy wracaliśmy wszyscy z dalszego spaceru powiedział mi bez żadnego wstępu. — Za tydzień wyjeżdżam do Paryża, mam tam pewne sprawy do załatwienia, czas mi opuścić te strony, gdyż dwa miesiące blisko bawię u mego przyjaciela.

Był to cios tak niespodziewany, że niezdolna zapanować nad sobą, zrozpaczona, wybuchnęłam płaczem. Gdy podniosłam oczy on stał przedemną uśmiechnięty, wytworny, w każdym calu doskonały. Zdziwiona z początku tą jego zwycięską miną, szepnęłam:

— Więc pan z obojętnością rzuca te strony, niczego pan tu nie zostawia?

Ale on już stał obok, obejmując mnie ramieniem i głosem słodkim, pieszczotliwym szeptał:

— Kocham cię, najdroższa, wiesz o tem, ale dłużej bywać tu nie mogę, nie mam majątku, by ci go złożyć w ofierze—więc muszę uciekać daleko, aby zapomnieć.

Wtedy urywanym przez łzy głosem zapewniałam go, że mi nie zależy na majątku, że miłość nam życie ozłoci i tym podobne słowa, z których on prawdopodobnie śmiał się szczerze.

Jak się ta rozmowa skończyła?... Tak jak on to ułożył w swej mądrej głowie. Przysięgał zdobyć stanowisko i ożenić się ze mną, którą jedyną na świecie ukochał. Był to zadatek na pocałunki i uściski, któremi od dnia tego mnie zasypywał, mnie, która uważając się w duchu za jego narzeczoną, słuchałam go tak dalece, żem ani słówka nie wspomniała o tem matce.

Odgadłaś pewno odrazu, że gdy odjechał, rachowałam dni, które mnie dzieliły od powrotu do Paryża. Tęsknota żarła mnie, oczy zapadły, usta zbladły, cień ze mnie został. Ostatecznie wyznałam matće, że takie życie mnie zabija, bo nie mogę i nie chcę za żadną cenę rzucić studyi i wyrzec się przyszłości. Gdyby mi zabrano muzykę umarłabym. I ona uwierzyła, płakała z początku a potem sama oświadczyła, że trzeba iść za głosem przeznaczenia, szczególniej, gdy się ma takie zdolności. Postanowiła, że z początkiem jesieni wyjedziemy z Błotnik, ale rozmowę z wujem ciągle odkładała. Wreszcie nadeszła stanowcza chwila. Wuj rzucał się, groził, zaklinał, płakał prawie, wkońcu doprowadzony do ostateczności moją niewdzięcznością—oświadczył, że więcej nie chce nas znać.

Jaka ja wtedy byłam pochłonięta swoją miłością i nieczuła na wszystko inne! Promieniałam, siedząc w pociągu pędzącym do Paryża, nie widząc bladości na twarzy mamy, ani łez, co drżały na jej powiekach. Tak, moja droga, młodość okrutną jest, szczególniej gdy serce w grę wchodzi. Dziś, gdy o tem wspomnę, muszę zęby zaciskać, by nie krzyczeć z bólu, żem ostatnie lata mamy z własnej winy zatruła. W Paryżu zaczęłam gorączkowo oczekiwać przybycia Bohdana. Zdobiłam kwiatami skromne nasze pokoiki, codzień inne wstążki wpinałam we włosy, ale on się nie pokazywał. Zwątpiłam już prawie, że rzeczywiście bawi w mieście. Pewnego dnia oznajmiła mi mama, że jej dobra znajoma, z twoją bratową, pani Renaud, zaprosiła nas do swej loży, na wielkie przedstawienie w operze. Radość moja była ogromna, gdyż pewna byłam, że jeżeli gdzie, to tam napewno się spotkamy, i jedynie dręczyła mnie myśl, że będę nieładnie ubrana, co napewno niemile dotknie Bohdana, który tak lubił wykwint i stroje. To też, aż zarumieniłam się z radości, gdy twoja bratowa, przypinając mi do stanika pyszne ponsowe róże, zauważyła z uśmiechem, że ślicznie wyglądam w mej skromnej białej sukience. Gdy pierwszy raz ośmieliłam się podnieść oczy na sąsiednią lożę, o mało nie krzyknęłam ze zdumienia. Naprzeciw nas siedział między dwiema pięknemi paniami, on—mój narzeczony

D. c. n.

Z CHWILI.

W dn. 8-ym b. m. zmarł nieoczekiwanie na anewryzm serca ś. p. Władysław Rowiński, dziennikarz i literat, kierownik *Przeglądu porannego* oraz były redaktor *Kuryera Łódzkiego*.

Zmarły z niestrudzoną gorliwością oddany swej pracy, cieszył się szczerą i zasłużoną sympatyą wśród dalszych i bliższych znajomych. Zawsze uprzejmy, uczyn-

ny, zawsze na swym posterunku, był przykładem cichej, niezmordowanej pracy.

Pozostawił za sobą żal serdeczny i szczery, tem więcej, że osierocił dość liczną rodzinę, a żył lat 48.

Kronika działalności kobiecej.

Dlaczego Polkom potrzebne są polityczne prawa wyborcze?

Dlatego — aby „połowa narodu nie żyła bez praw, poza prawem".

Dlatego—że prawa polityczne należą się Polkom, jako obywatelkom kraju.

Dlatego—że już Mickiewicz przyznawał: „Kobiecie — towarzyszce żywota—równe wszystkim prawa".

Dlatego — że „niewolnica nie urodzi wolnego człowieka".

Dlatego— by do skarbnicy zbiorowego wysiłku narodu, Polki dorzucić mogły jaknajwiększy dorobek samodzielnej myśli i czynów.

Dlatego — by kraj oświecić od piwnic aż do poddaszy!

Dlatego—by w Polsce wytępić frymarkę: groszem publicznym — żywym towarem — czcią i sumieniem!

Dlatego — że Polska musi się zdemokratyzować, a istotny demokratyzm nie może się rozwinąć, dopóki istnieje przywilej płci w narodzie.

Dlatego — by wnieść do polskiego państwa wpływy kulturalne i etyczne, jakie wszędzie wnosi współpraca równoprawnych obywatelek.

Dlatego — że polityczne prawa wyborcze już przyznano kobietom w Ameryce, Australii, Nowej Zelandyi, Finlandyi, Norwegii, Danii, Islandyi, Rosyi, Anglii, Holandyi i w Kanadzie.

Dlatego, — że Polska, która innym narodom głosiła ideę wolności i równości, nie może dziś odmawiać tej wolności i równości swoim obywatelkom!

Dlatego wreszcie, — że Polkom przysługiwały równe prawa do zsyłki — katorgi — Sybiru, więc należą im się od Rodaków równe prawa do Polskiego Sejmu.

Wobec tego „Związek Równouprawnienia Kobiet Polskich" zwraca się z obywatelskiem wezwaniem do Stowarzyszeń, Związków i Korporacyi o poparcie sprawy powagą swoich orzeczeń, a do zwolenników i zwolenniczek wyborczych praw kobiet o składanie deklaracyi i podpisów w biurze Związku R. K. P. Nowogrodzka 31.

Równouprawnienie studentek.

Studentki uniwersytetu warszawskiego doczekały się pierwszego „równouprawnienia na piśmie". Dotychczas bowiem wszelkie odezwy rektoratu zwracały się jedynie do pp. studentów. Nareszcie jednak w odezwie o przerwie w wykładach z powodu ostatków, zaznaczono, że to wiadomość dla studentów i studentek.

Obywatelski czyn.

Panie Arkuszewskie, właścicielki majątku Krupki, zadeklarowały udzielić pomieszczenie 30 dzieciom warszawskim w folwarku Michałowie. Niezależnie od tego zaofiarowały się dostarczać na wyżywienie dzieci 8 do 10 korcy kartofli miesięcznie, aż do końca wojny, 2 korce peluszki, 2 korce gryki, korzec jęczmienia, żyta w ilości 7 i pół kilo na osobę i po pół garnca mleka na dziecko.

Z deklaracyą swą p. Arkuszewskie zwróciły się do Wydziału Dobroczynności Magistratu.

Mieszkanie i umeblowanie mają być gotowe na 15 lutego.

Obchód Grottgera.

Dnia 10 lutego, o g. 4-ej po poł. w sali Katolickiego Związku Kobiet Polskich—Krak.-Przedmieście 36 odbył się koncert-obchód, poświęcony pamięci powstania styczniowego i uczczeniu Artura Grottgera, urządzony staraniem sekcyi Ognisk rodzicielskich przy Zrzeszeniu. Na obchód złożyły się: pogadanka z przezroczami, śpiew i deklamacya.

Odczyt.

9 b. m. o godz. 8 m. 15 wiecz. odbyło się zebranie sekcyi wychowawczej, na którem wygłosiła referat p. Lipska-Librachowa „Badanie dziecka".

Subsydyum.

Wskutek specyalnych starań Towarzystwa Kobiecego w Pułtusku, oraz p. Grzebskiego, Wyższa Szkoła Ogrodnicza w Warszawie otrzymała od sejmiku powiatowego subsydyum w sumie 3000 mk.

Z ruchu wydawniczego.

Ukazała się nakładem Księgarni Polskiej Bernarda Połonieckiego we Lwowie ciekawa praca Zofii Wygodziny p. t. „Kobieta wiejska, jako czynnik gospodarczy i kulturalny". W jednym z najbliższych numerów naszego pisma poświęcimy jej wyczerpujące sprawozdanie.

Udział kobiet w służbie kolejowej.

Pruski minister kolei żelaznych, v. Breitenbach, podaje w lipskiej „Illustrierte Ztng" ciekawe informacye, dotyczące udziału kobiet w służbie kolejowej. Według tych informacyi zarząd prusko-heskich kolei państwowych, który przed wojną zatrudniał w kilku wydziałach pomocniczych 10.000 kobiet, obecnie posługuje się siłami kobiecemi we wszystkich gałęziach ustroju kolejowego; liczba tych pracownic doszła już do 100 tysięcy.

Rozmaitości.

O ustalenie pisowni. W dniach 4 i 5 b. m. odbyła się w Krakowie konferencya, zainicyowana przez Akademię umiejętności w Krakowie, w celu ujednostajnienia pisowni na wszystkich ziemiach polskich i dla wszystkich polaków. Pomimo znacznych trudności komunikacyjnych i innych przeszkód przybyli delegaci ze wszystkich prawie ziem Polski.

Członków konfederacyi powitali: sekretarz jeneralny Akademii, prof. B. Ulanowski i dyrektor wydziału filologicznego, prof. K. Morawski. Obaj mówcy podnieśli doniosłość konferencyi, na której zgromadzili się delegaci ze wszystkich stron Polski, aby wspólnie obradować nad sprawą, obchodzącą wszystkich polaków. Zadaniem zjazdu jest dojść do zgody; nie chodzi o to, jaka ma być pisownia, lecz o to, aby była jednolita na wszystkich ziemiach Polski.

Po otwarciu posiedzenia, delegaci Macierzy szkolnej z Warszawy przedstawili wniosek, aby zebranie obrady swoje uważało tylko za materyał do decyzyi, decyzyę zaś ostateczną złożyło do rąk Akademii umiejętności w Krakowie, której autorytetowi wszyscy polacy i wszystkie polskie instytucye, winny się podać bez apelacyi i bez protestu. Przemówienia mówców poprzednich, zarówno jak i wniosek Macierzy szkolnej warszawskiej, zgromadzeni przyjęli jednomyślnie. Za wnioskiem Macierzy szkolnej w Warszawie, poszli wszyscy inni delegaci, oświadczając zgodnie, iż mają mandat do poddania się bezwględnego ortografii, uchwalonej przez Akademię umiejętności w Krakowie.

Po wyczerpaniu wszystkich zagadnień ortograficznych, przewodniczący prof. Morawski zamknął konferencję, dziękując zgromadzonym za okazane Akademii zaufanie.

Polecamy miłosierdziu Szanownych Czytelniczek, biedną, chorą staruszkę, bez środków do życia. Ofiary przyjmuje adm. naszego pisma pod literami M. Ż.

TREŚĆ NUMERU:

Redaktorka i Wydawczyni: **Zofia Seidlerowa.**

Druk J. Świętoński i S-ka, Warszawa, Kopernika 34.

Za pozwoleniem cenzury niemieckiej.